

JAROSŁAW
RYBAK

Nostalgiczny weekend

PO KRÓTKIM POBYTCIE
W **WOJSKOWYM DOMU**
WYPOCZYNKOWYM WIEM, ŻE
NADAL SĄ W POLSCE MIEJSCA
ŻYWCEM WYJĘTE Z FILMÓW
STANISŁAWA BAREI



Dotaraliśmy do celu w piątek ciut po godz. 19. Recepcjonistka w WDW zapytana o restaurację wyjaśniła, że najbliższy posiłek jest planowany następnego dnia od 8.00, gdyż stołówka wydaje kolacje do 18.00. Dziwna to polityka kierownictwa obiektu mogącego pomieścić 400 gości. Każdy z nich, chcąc cokolwiek zapełnić żołądek, musi zostawić pieniądze u konkurencji. Na pocieszenie usłyszeliśmy, że w zamian za kolację możemy dostać suchy prowiant. Ostatecznie wymieniliśmy piątkową kolację na niedzielny obiad. Jak to w wojsku: sztuka jest sztuka. Nie zjadłeś po przyjeździe, zjesz przed wyjazdem.

Apartament prezentował się wytwornie: salon, duża sypialnia, aż dwie łazienki. Schłodnie i czysto. Do tego z balkonu piękny widok na Giewont i Czerwone Wierchy. Do relaksu zachęcały szklanki, kieliszki do wina i wódki. Żona chciała się napić herbaty. Niestety, obok eleganckiego czajnika nie było jakiegokolwiek saszetki z herbatą czy kawą. Brakowało też najmniejszej butelki z wodą mineralną. Spałem już w kilku apartamentach, stąd wiem, że woda, kawa i herbata (jako dodatek do czajnika) powinny być standardem.

Na pocieszenie w jednej z łazienek był prysznic z hydromasażem. Super! Tylko że drzwi się nie domykały. Żeby woda nie zalewała podłogi, strumień należało zablokować własnym ciałem. Jako osobnik o nie najdrobniejszej budowie, nie miałem z tym problemu. Ale broniąc łazienki przed wodą, mogłem masować tylko prawą część pleców. Żona stwierdziła jednak, że bym nie narzekał, bo lepsza jedna zrelaksowana strona niż żadna. Przy okazji przypomniało mi się, że bohater filmu „Nie ma róży bez ognia” w jednej ze scen też stał się częścią instalacji hydraulicznej...

Rano w stołówce usiedliśmy przy pierwszym wolnym stoliku. Zawartość obfitego szwedzkiego stołu okazała się smaczna. Śniadaniową sielankę przerwała pani kelnerka, która głosem odbiegającym od dyskretnego, poinformowała, że zajęliśmy nie swój stolik. I tu poznaliśmy kolejną tajemnicę WDW: goście są ściśle przyporządkowani do miejsc. Siedzimy więc jak trusie, gdy pani głośno zastanawia się, co robić, a pozostali stołówkowicze zmuszeni są tego słuchać. Na domiar złego pojawiają się prawowici użytkownicy stolika. Bojąc się wywodu dotyczącego zabrudzenia obrusa, dyskretnie zasłaniałem łokciem zastaną płamę. Ostatecznie skończyło się lepiej niż dla jednego z bohaterów „Misia”, konsumującego kaszę w barze mlecznym...

To WDW ma kapitalną lokalizację, wyremontowane wnętrza, potencjał. Ale czegoś tam brakuje. Znajomy generał, znający się na zarządzaniu (wiem, dla wielu czytelników zestawienie „generał” i „zarządzanie” brzmi niewiarygodnie), stwierdził, że może jest to oferta wynikająca z modelu biznesowego skierowanego do ludzi, którzy w latach młodości urlopy spędzali w WDW. Jeżdżą tam z nostalgią. Dobrze znana atmosfera daje im poczucie bezpieczeństwa, a schludne wnętrza – komfortu. Być może. Ale właśnie dlatego klienci przyzwyczajeni do oferty „sektora cywilnego” mogą przyjechać tam dwa razy: pierwszy i ostatni. Nie wszystkim odpowiada pobyt w muzeum inspirowanym filmami Barei. ■

JAROSŁAW RYBAK JEST PUBLICYSTĄ
ZAJMUJĄCYM SIĘ PROBLEMATYKĄ BEZPIECZEŃSTWA. AUTOREM KSIĄŻEK O POLSKICH
JEDNOSTKACH SPECJALNYCH. BYŁ RÓWNIEŻ
RZECZNIKIEM PRASOWYM MON I BBN.